

Ostatnie spojrzenie na taniec samochodów i grę ulicznych świateł. Ostatni łyk świeżego, nocnego powietrza. Zamykam okno. Kładę się cicho na łóżku. Chociaż wiem, że to niemożliwe, z każdym przełknięciem śliny czuję odłamki szkła. Cały dzień pasożyt spał, by pod koniec dnia nie pozwolić na to samo mi. Spoglądam na wiszący na ścianie obraz. Jak zawsze.

Zimny podmuch uderza mnie w pysk, w łapach czuję mróz. Obracam się i widzę trzy wygłodniałe wilki. Kolejna mordercza gonitwa właśnie się rozpoczyna.

Pierwszy dopada mnie A. Próbuje wykorzystać przerwę w lodzie i zepchnąć mnie pod nią.

Nieudolnie. Jestem silna. Dzisiaj musi mi się udać. Nie mam czasu obserwować, jak najstarsza bestia znika w lodowatej wodzie, zdradzona obosiecznym mieczem.

Pozostały dwa. Nie minęła chwila, a już jest przy mnie S. Jego obawiam się najbardziej, to nie byłby pierwszy raz, gdybym została przez niego zaduszona i stłamszona. Tym razem jest inaczej.

Wola życia niweluje przewagę przeciwnika. Rzucam się na niego i gryzę, aż do ostatniego tchu, jak on zwykle mnie. Został ostatni, a na horyzoncie pojawił się balon, meta jest już blisko.

Zmniejszająca się liczba przeciwników tylko potęguje moje przerażenie. Kiedy zaczynałam biec, mając na karku kilka bestii, nie miałam większych nadziei. Byłam świadoma, że w końcu poczuję zmęczenie, że w bezpośredniej konfrontacji okażę się słabsza. Zbliżający się cel i jednocześnie zwiększająca się nadzieja nadają każdemu ruchowi dramaturgii.

Czuję na karku ciepły oddech wroga. Będę szybsza, wsiądę do balonu.

Ciszę rozdziera histeryczne warczenie, śmiech. Potknęłam się. Latającego obiektu już nie ma, odleciał. Spóźniłam się. Zostałam tylko ja i B. Więcej nie wstanę, nie mam po co. Moje ciało powoli przykrywa śnieg, tworząc kożuch, pod którym zaczynam zasypiać. Jak zawsze.

Otwieram powoli zmęczone, zielone oczy, już nie szkarłatne ślepia. Klatka piersiowa porusza się równomiernie, spokojnie unosząc się i opadając, nic nie próbuje jej rozerwać, wszystko zasnęło, może tym razem zniknęło? Wzrok pełen nadziei z powrotem zatrzymuje się na obrazie. Nevermore.

Wiem, że to nieprawda. To nie jest mój balon, chociaż bardzo chciałabym żeby był. Pasożyt poruszył pręty celi, kradnąc dla siebie powietrze i dając dobitny znak, że to tylko cisza przed kolejną burzą. Jak zawsze.

Są momenty, w których niczego innego tak nie pragniemy jak odciąć się od wszystkiego co trzyma nas przy ziemi. Momenty, w których obecność bliskich jest zbędna, to nie ich walka i gonitwa, chociaż tak bardzo by chcieli w niej uczestniczyć, choćby poprzez doping, gdy już zbliżamy się do mety. W takich chwilach jest ze mną sztuka i moja wyobraźnia, jest Zdzisław Beksiński, nieśmiertelny dzięki swoim dziełom, które nadal oddychają i krzyczą jego płucami oraz ustami i niezauważalnie wciągają w swoje ramy, hipnotyzując każdego swoją poruszającą i wzbudzącą zachwyty formą.

Są dla mnie portalem do uniwersów, w których zostają tylko ja i moje demony- fobie, obawy.

Przestrzeni palących krwawym słońcem lub wzbudzających dreszcze falami śniegu i mrozu.

Miejsca, w których jestem w stanie skonfrontować się z lękami, które w rzeczywistości są zbyt potężne. Lękami, które niczym okrutni, złośliwi artyści malują każdy mój kolejny dzień, stawiając mnie na pierwszym planie swoich prześmiewczych dzieł. Wpadając do obrazów Zdzisława Beksińskiego to ja wybieram im arenę, w której przyjdzie stoczyć nam walkę. Wydają się dużo słabsze i mające mniejszy wpływ, kiedy zostają zmuszone do konfrontacji na moich zasadach. Stajemy naprzeciw siebie, jak równi z równym, niczym gladiatorzy w rzymskim koloseum. Mistrz po każdym moim zwycięstwie wymachuje kciukiem w dół.

Zostawiam truchła wrogów i po raz kolejny próbuję dostać się do balonu, który w mojej wyobraźni zawsze pojawia się gdzieś na horyzoncie, dając mi nadzieję, że w przyszłości ponownie będzie dla mnie tylko elementem obrazu, podobnie jak deszcz i śnieg, skwar i mrok, a ja swoją ostatnią, najważniejszą walkę rozegram w rzeczywistości. I wygram.